

JAGODA WOCHLIK

Miłość na niby



FILIA

JAGODA WOCHLIK

Miłość
na niby

FILIA

Cioci Elżbiecie,
która opowiedziała mi
o sukience pani Harris

Tej historii bieg
Stary jest jak świat
Obce dusze dwie
Wtem coś zmienia się
Nie wiadomo jak

Piękna i Bestia

ROZDZIAŁ I

Nieznajomi po sąsiedzku

Elżbieta. Nie pasowało jej to imię. Uwierażo jak kamień w bucie. Było zbyt stateczne. Sztywne niczym strój galowy. Może to właśnie niedopasowane do osobowości imię sprowadziło na nią pecha, rozmyślała, idąc ulicą. No bo bądźmy szczerzy. Ile znacie kobiet noszących to imię, których granica wieku nie oscyluje w okolicach setki? Nieważne, że nosiła je królowa. Czy imię to nadano choć jednej młodej kobiecie w waszym otoczeniu? Takiej, która ma lat trzydzieści? Może dwadzieścia? No właśnie. Jej matka niestety była prawdziwą i szczerą miłośniczką prozy Jane Austen i rodziny królewskiej. Pomyślałby kto, że urodziła się w Anglii. Ale nie. Jej szczapowata noga od wielu lat nie powstała choćby o centymetr poza granicą rodzinnego miasta.

O tym wszystkim myślała Elżbieta (dla bliskich Bietka, choć zamiłowanie do Balzaca w jej rodzinie było raczej nieobecne i sama zainteresowana nie sądziła, by jej matka słyszała kiedykolwiek o kuzynce Bietce), idąc przez miasto w strugach ulewnego deszczu. Woda skapywała obficie z jej przezroczystego parasola z postaciami z Harry'ego Pottera w stylu chibi. Woda chlupotała na chodnikach, spływała rynsztokami, płynęła wartkimi strumieniami po ulicach. Mogłaby to być urocza sceneria dla jakiejś komedii romantycznej. Sęk w tym, że nie była. Zirytowana Elżbieta (dla przyjaciół Lizzy, taki żart z *Dumy i uprzedzenia*) postawiła kołnierz marynarki w obronie przed wilgocią i westchnęła, jakby przygniótł ją cały ciężar świata. Bo jam czterdzieści i cztery. Za miliony czuję i cierpię katusze. Prawda jednak była mniej romantyczna. Bietka nie była w tym sama. Jak wielu pracowników centrum, stała się ofiarą usuwania ze śródmieścia ruchu autobusowo-tramwajowo-samochodowego i wiecznych remontów. Choć teraz centrum było ciche i spokojne, co zdaniem władz miasta miało przynieść same korzyści, dla wielu, w tym Elżbiety, stało się prawdziwym utrapieniem.

Brnęła po zalanych wodą ulicach, starając się omijać kałuże i uważać na śliskich płytach chodnikowych. Przebiegała plac Wolności, myśląc o tym, że zdaniem swojego ojca i byłego narzeczonego jest osobą zdecydowanie niepoważną. Twierdzili, że młoda kobieta, jaką w wieku lat

trzydziestu jeden niewątpliwie przestawała w ich oczach już być, powinna znacznie lepiej ogarniać swój świat. Chcieli, nie, wręcz wymagali od niej, by miała znacznie więcej ambicji.

„Ambicja”. Słowo klucz. Problem w tym, że Bietka była całkowicie pozbawiona ambicji. Życie, które wiodła, zupełnie jej wystarczało. Jeszcze w trakcie studiów, na ostatnim roku, kiedy ma się mało zajęć, a dużo czasu na pisanie pracy naukowej i myślenie (przy czym jedno z drugim w ogóle nie było związane), Elżbieta, pierwsza tego imienia w swojej rodzinie, zaczęła się w Muzeum Narodowym w Poznaniu, na pierwszym piętrze, w sali z Malczewskim. Jej praca nie była wymagająca. Miała pilnować, by nikt nie dotykał obrazów, nie przeszkadzał innym. Od czasu do czasu pomagała jakimś zbłąkanym duszom, które nie wiedziały, którędy do wyjścia. Kiedy nikogo ze zwiedzających nie było na horyzoncie, siedziała na krzeselku przy wejściu i czytała albo gapiła się na doskonale jej już znane obrazy i myślała.

To, co miało być zaledwie chwilowe, przelotne jak mgnienie wiosny w marcu, stało się dla Elżbiety sposobem na życie. Jednak zdaniem ojca i narzeczonego jako dumna absolwentka Uniwersytetu Artystycznego imienia Magdaleny Abakanowicz powinna mieć znacznie ambitniejsze plany. Pracować w reklamie, projektować biżuterię, ewentualnie, ale to tylko ewentualnie, zrobić karierę jako

rzeźbiarka czy malarka. Sama jednak Elżbieta nie miała chęci robić kariery. Siedziała na swoim krzeselku w muzeum i czytała książki, pobierając pensję na tyle wysoką, by móc za nią wyżyć, i na tyle niską, że wciąż mieszkała w jednym mieszkaniu z koleżanką ze studiów, bo na nic lepszego nie było jej stać.

Jej współlokatorka Nina (dla przyjaciół Nini, bo słowo to składało się z dwóch identycznych sylab, jak Coco, a Nina uwielbiała Chanel) też nie poradziła sobie lepiej. Uczyła plastyki. W szkole podstawowej, a właściwie w dwóch, bo w żadnej nie miała pełnego etatu. To z kolei sprawiało, że w oczach ojca i byłego narzeczonego Elżbiety Nini nie nadawała się kompletnie na przyjaciółkę, za co Lizzy kochała ją jeszcze bardziej.

Jednak o ile rodzina Nini (wychowawczyni przedszkolna i hydraulik) miała gdzieś, czy dziewczyna będzie robić wielką karierę, czy też nie, o tyle rodzina Bietki wciąż ciosała jej kolki na głowie. A to, że w jej pracy nie ma perspektyw, szans rozwoju, że nigdy nie awansuje. A to, że za mało zarabia i nie może pozwolić sobie na wakacje w Grecji. A to, że posiadanie dla siebie tylko jednego pokoju w mieszkaniu, gdzie jest wspólna kuchnia i łazienka, nie jest odpowiednie dla ludzi w pewnym wieku. Elżbieta za nic miała jednak te uwagi i przestrogi aż do dnia, kiedy właśnie w tej wspólnej kuchni, siedząc przy stole, jej naręczony wyciągnął rękę i poklepał ją dobrotli-

wie po dłoni. Miał wtedy na sobie świeżo skrojony garnitur w modnym kolorze, białą koszulę i krawat. Uniform, który Elżbietę trochę przerażał. Zawsze się bała, że nie będzie wiedziała, jak to wszystko z niego pościągać, gdyby chcieli uprawiać seks. Na szczęście on zawsze rozbierał się sam. Składając wszystko, nawet skarpetki, w idealną, pedantyczną kostkę.

– Wiesz, Elżbieto – powiedział wtedy, patrząc na nią z zalem. – Jesteś zbyt... niedojrzała. A ja nie mogę dłużej czekać, aż się ogarniesz. Przykro mi.

Nie czekał, co powie albo zrobi. Po prostu wstał i wyszedł.

Elżbieta odwróciła twarz ku oknu. Obserwowała, jak odchodzi chodnikiem. Wsiadł do swojej czarnej hondy. Kiedy powiedziała o wszystkim matce, rodzicielka płakała bardziej niż ona sama, a ojciec tylko się skrzywił, jakby i tak nie spodziewał się po swojej niewydarzonej córce niczego lepszego. Matka ciągle pytała, jak mogła pozwolić „uciec tak dobrej partii”, co sprawiło, że Elżbieta znów poczuła się bohaterką powieści Jane Austen.

Otóż ona, dziewczyna bez posagu i bez przyszłości, nie mogła sobie pozwolić na utratę aż tak dobrej partii, a jednak swoim niedojrzałym zachowaniem doprowadziła do tego, że „ten dobry chłopak” ją zostawił. Po tym wydarzeniu Elżbieta miała wrażenie, że nawet jej własna matka spisała ją na straty. Od tamtego momentu nie nalegała

już, by poszukała lepiej płatnej pracy. Nie interesowała się, czy kogoś poznała. Częściej pytała o Nini niż o to, czy ma nowego chłopaka. Natomiast ojciec zachowywał się, jakby odczuwał coś na kształt źle skrywanej satysfakcji.

Wreszcie stanęła w drzwiach muzeum. Złożyła swój słodki parasol, strzepnęła z niego wodę i ruszyła na zaplecze, do pomieszczenia dla pracowników, gdzie przebrała się w wymagany strój (jak ona nienawidziła mundurków, a pracowników muzeum oczywiście obowiązywał galowy *dress code*), w szafce zostawiła torebkę, pod oknem parasolkę do wyschnięcia. Ruszyła do pracy.

*

Jeżeli w życiu mu czegokolwiek brakowało, to czasu. Na wszystko. Na sen. Na jedzenie. Na myślenie o innych rzeczach niż praca, a i na pracę czasami też. Taka była cena sukcesu i wkurzał się, że inni tego nie rozumieli. Czy nie po to było to wszystko? Najpierw harówka, by dobrze zdać maturę i dostać się na studia, potem świetne wyniki na studiach. Zaczynanie od samego dołu, by teraz mieć własny gabinet z dużym biurkiem i jeszcze większym oknem. Uśmiechnął się na myśl, że kiedyś to on był tym, który zjeździł na swoich zmianach połowę województwa, by sprawdzać i naprawiać, gdy tylko w którejś z restauracji szybkiej obsługi padł system i trzeba było coś z tym zrobić. Nie zawsze dało się zdalnie. Tak to już jest, że

technika to taka czarna świnia i często trzeba było jechać na miejsce. To zajmowało dużo czasu.

Musiał mieć wszystko dobrze zaplanowane. Spotkania z dziewczyną dwa razy w tygodniu, wieczorami, od dwudziestej pierwszej do dwudziestej trzeciej. Głównie wtorki i z piątku na sobotę. Piątki z myślą o seksie, choć oczywiście nie mógł zostać na sobotni poranek, by choćby zjedli śniadanie, bo zdarzało mu się, że i wtedy miał robotę. Sam coraz rzadziej jeździł już do klientów, raczej koordynował innych, jak na menedżera przystało. Do rodziny na niedzielę, trzecią w miesiącu, a jednak coraz rzadziej, coraz mniej regularnie. I na niektóre święta.

To dzięki temu – tej dobrej organizacji i swojej ciężkiej pracy – jeszcze przed trzydziestym trzecim rokiem życia miał własne osiemdziesięciometrowe mieszkanie, z rynku wtórnego, to prawda, ale pięknie wyremontowane, markowe ubrania, włoskie buty. Spokojnie mógłby sobie pozwolić na zwiedzanie świata, ale nie miał na to czasu. Może za parę lat.

Dał jej klucze do swojego pięknego mieszkania. Kupował drogą biżuterię. Proponował nawet, by pojechała na dwutygodniowe wakacje do ciepłych krajów z jakąś koleżanką albo na narty lub deskę zimą, jak woli, on za wszystko zapłaci. Gdyby poprosiła o gwiazdkę z nieba, znalazłby sposób i kupiłby jej tę gwiazdkę, a jakże. No, może inaczej, jego sekretarka poszukałaby sposobu,

bo on nie miał czasu, ale zapłaciłby. Zrobiłby dla niej wszystko. A ona i tak go zostawiła. I to w jego własne urodziny!

Wpisał je oczywiście do kalendarza, pełen dobrej woli znalazł dla niej tego dnia cały wieczór, więc siedzieli w jednej z droższych restauracji w mieście, przy Starym Rynku, czekali na sałatkę z kielbasą z dzika, kiedy ni z tego, ni z owego wypaliła, że ma dość czekania. Ponieważ popijał wino, zajęty głównie myśleniem o liście zadań na następny dzień, zapytał bez zainteresowania, na co, i dopiero kiedy zdał sobie sprawę, że milczenie się przedłuża, skupił na niej swój wzrok. Westchnęła ciężko i założyła za ucho kosmyk włosów.

– Na ciebie – powiedziała.

Następnego dnia, kiedy był w pracy, zabrała większość swoich rzeczy i się wyprowadziła. Więcej jej nie zobaczył. Chciał jakoś ją przekonać, porozmawiać, ale nie znalazł czasu, bo akurat była duża awaria, jednocześnie w kilku miastach i musiał się tym zająć.

To właśnie o tym myślał dwa lata później, popijając nieśpiesznie wino i czekając w knajpie na kumpla, z którym miał świętować urodziny. Szkoda, że nie zaczekała. Teraz miał więcej czasu. To prawda. Nadal musiał przynieść czasem pracę do domu, a telefony po dwudziestej drugiej, których nie mógł zignorować, wcale nie były rzadkością, ale było już luźniej. Lepiej. Szkoda, że nie za-

czekała. Choć przecież teraz, nawet gdy mocno wysilił pamięć, nie potrafił sobie przypomnieć jej twarzy. Może miał jeszcze gdzieś jakieś ich wspólne zdjęcie?

Marek wreszcie się zjawił. Klapnął na siedzenie po drugiej stronie stolika. Przyjrzał mu się. Nadal był w garniturze, na podłodze obok siebie postawił teczkę. Pomyślałby kto, że praca w ubezpieczeniach to taka spokojna. Od ósmej do szesnastej. A tu proszę. Wyglądało, że jego kumpel dopiero wyszedł z roboty. Marek rozluźnił krawat.

– Byłem na jakiejś pieprzonej radzie pedagogicznej, gdzie próbowałem bandę gołodupców nauczycieli przekonać do naszych ubezpieczeń na życie – wyjaśnił. – Pasowało im spotkanie dopiero po dziewiętnastej.

Zamówili danie główne. Wtedy Marek stuknął swoją butelką z piwem w jego kieliszek z winem i stwierdził:

– Sto lat, brachu. To teraz mi powiedz, czemuś taki niewyraźny, przecież masz urodziny.

Niekoniecznie miał ochotę o tym mówić. Chwilę przed przyjściem kumpla odebrał telefon od matki. Dzwoniła, żeby mu złożyć życzenia, ale skończyło się na wyrzutach. Stwierdziła, że piątkę to się już w sumie zakręgiła w górę, więc ma prawie czterdzieści lat. Powinien sobie znaleźć miłą dziewczynę, ustatkować się. Mieć kogoś. A potem to najlepiej, żeby z tym kimś jeszcze miał dzieci. A on nic, tylko praca i praca.

– Matka zrzędzi, żebym sobie kogoś znalazł.

Kumpel, średnio szczęśliwie żonaty od kilku lat (był na ich ślubie? chyba nie, ale sekretarka wysłała prezent, pamięta, że ją o to prosił) gwizdnął.

– No tak, randkowanie po trzydziestce to pewnie jak przedzieranie się przez plażę w Normandii.

Wzruszył ramionami. Nie miał ochoty zwierzać się, że nie ma ani czasu, ani siły na randki.

– Poproś jakąś koleżankę z pracy, żeby udawała twoją dziewczynę. Pojedziecie razem do matki na święta, potem udasz, że się rozstaliście, i da ci spokój na jakiś czas, bo będziesz pozorował, że jesteś zrozpaczony...

Zaśmiali się obaj, taki żart. Ale pomysł był z nim przez cały czas powrotu do domu. Co, gdyby...

Zastanawiał się, gdzie znajdzie dziewczynę. Zrobił w głowie przegląd koleżanek z pracy. Kasia ze swoimi tatuażami, chociaż śliczna, wydałaby się rodzicom przerażająca. Ania miała różowe włosy, co ojciec pewnie uznałby za niepoważne, a Ulę oceniliby na... zbyt pewną siebie, nazwijmy to w ten sposób. Potrzebował dziewczyny na wskroś przeciętnej, takiej, która za bardzo nie rzucałaby się w oczy. Takiej, którą łatwo polubić i przytulić do serca, ale zarazem łatwo zapomnieć, tak by rodzinie nie było przykro, gdy uda, że zerwali, i obwieści, że więcej jej na oczy nie zobaczą.

Tylko gdzie taką znaleźć? Wzdragał się przed przeszukiwaniem stron z paniami do towarzystwa, bo choć

pewnie można wyhaczyć taką, która jest studentką, i zupełnie spokojnie mógłby się z nią pokazać czy porozmawiać na różne tematy, by rodzina uwierzyła, że coś ich łączy, to znalezienie takiej, która wykonywałaby ten zawód, a jednocześnie emanowała przeciętnością, wydawało mu się już zbyt pracochłonne. Te kobiety, z tego, co się orientował, a miał świadomość, że orientuje się dość kiepsko, bo nigdy właściwie nie miał takiej potrzeby, nastawione były na to, by olśniewać, wyróżniać się. Emanować pięknem, kobiecością i seksapilem. Nie o to mu chodziło.

Zadowolony, że przynajmniej zaczął mierzyć się z problemem, postanowić podjąć tę kwestię w dniach następnych. Choć te, jak się okazało, nie przyniosły rozwiązania. Za to przyniosły nawał pracy, bo musieli opanować awarię w restauracji szybkiej obsługi na Dworcu Głównym oraz drugą, podobnie rozległą w Kórniku oraz w kilku punktach na trasie autostrad. Miał co robić.

W piątek wieczorem, w drodze do domu, zjechał do Pestki, by w supermarkecie zrobić zakupy. Kiedy skończył, spojrzął na zegarek. Coś go podkusiło, by wejść do Słodkich Historii, było jeszcze trochę czasu do zamknięcia lokalu. Robili tam niezłą kawę. Z niewyjaśnionego powodu miał też dziś ochotę na ciastko, choć generalnie nie przepadał za tym rodzajem słodczy. Pomyślał, że może sobie pozwolić na przeciągnięcie swoich urodzin przez wszystkie dni tygodnia. Zamówił kawę. Ostatecznie nie

TO, CO NA POCZĄTKU MIAŁO BYĆ TYLKO NA NIBY, STAJE SIĘ Z CZASEM PRAWDZIWE.

Maks odniósł w życiu sukces. Ma stabilną i dobrze płatną pracę oraz własne mieszkanie. Jedyne, o czym marzy, to by rodzina przestała na niego naciskać, żeby znalazł sobie dziewczynę. W jego głowie rodzi się chytry plan, by znaleźć kobietę, która przez pewien czas będzie udawała przed bliskimi jego partnerkę.

Elżbieta wciąż mieszka w wynajętym wraz z koleżanką ze studiów mieszkaniu. Chciałaby, żeby rodzina przestała nalegać, aby się ogarnęła, rzuciła kiepsko płatną pracę w muzeum i zajęła czymś bardziej dochodowym. Gdy poznany w kawiarni przystojny mężczyzna w garniturze proponuje jej, by udawała jego dziewczynę, Elżbieta dostrzega w tym szansę na przekonanie rodziców, że wbrew temu, co myślą, stać ją na coś więcej.

Okazuje się, że pracującą w muzeum niespełnioną artystkę i zafiksowanego na punkcie swojej pracy biznesmena łączy więcej, niż pragnęliby przyznać.

Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

FILIOTEKA.PL

FILIA

cena 44,90 zł

ISBN 978-83-8280-879-7



9 788382 808797